

Wielki zamilczany



Jerzy Narbutt

Jerzy Biernacki

Gdyby zapytać licealistę lub nawet studenta polonistyki piątego roku, kto to jest Jerzy Narbutt, obawiam się, że najczęściej nie otrzymałoby się żadnej odpowiedzi. Dźwięk samego nazwiska być może wydawałby się naszemu respondentowi znajomy, ale związany raczej z brzękiem szabel powstańczych niż z literaturą. Jerzy Narbutt po dziś dzień bowiem jest jednym z najszczelniej zamilczanych pisarzy współczesnych, mimo że jego dorobek sięga dwudziestu pozycji książkowych, a każda z nich jest w szczególny sposób znacząca. Autor oficjalnego od 2000 roku hymnu Solidarności (...), specjalnie zaproszony na jubileuszowe zebranie jej regionu mazowieckiego, połączone z koncertem, nie tylko nie doczekał się od tej organizacji jakiegokolwiek wyróżnienia czy pamiątkowego medalu, ale również wykonania swego hymnu (z muzyką Stanisława Markowskiego), wbrew zapowiedziom oraz gotowości artystów, którzy nauczyli się pieśni i zamierzali ją zaśpiewać. Organizatorzy do tego nie dopuścili. - A więc bojkot trwa nadal - szepnął do mnie rozgoryczony pisarz.

Tym bardziej więc jest naszym obowiązkiem przypomnieć oryginalną twórczość i niecodzienną biografię tego twórcy, którego każdy kolejny tom prozy, poezji, eseistyki czy artykułów publicystycznych powinien być wielokrotnie analizowany, przybliżany czytelnikom i promowany przez krytykę, gdyż jest to (i przyszli historycy na pewno to potwierdzą) jedna z najważniejszych i największych pod każdym względem postaci literatury i szerzej kultury polskiej, o której czystość i wysoką jakość niestrudzenie się dopomina. Docenił to rozporządzający czułym sejsmografem sfery kultury i cywilizacji Waldemar Łysiak, obdarzając Jerzego Narbutta w jednym z tomów swego „Malarstwa białego człowieka” mianem największego żyjącego myśliciela polskiego.

Prozaik

Sam pisarz największą wagę przywiązywał do swoich utworów prozatorskich, wśród których jest przede wszystkim kilka tomów nowel (pierwszy - „Debiut i inne opowiadania” z 1965 r., potem „W mieście wesele”, „Znowu zakwitnie listopad”, aż po „Benefis” z roku 2004) i jedyna powieść pod niezwykłym tytułem „Ostatnia twarz portretu”, pierwotnie wydana w drugim obiegu w 1981 roku (przy sprzeciwie Wiktora Woroszyńskiego, który oskarżył ją o nadmierny patriotyzm!), a ponownie przez opatrnościową dla pisarza katowicką Unię Jerzego Skwary w roku 2002.

Wtedy to impuls, zrodzony jeszcze w okresie walki z komuną, zaindukował Krzysztofa Masłonia, krytyka literackiego „Rzeczpospolitej”, do napisania bardzo pięknej rekomendacji powieści, do przypomnienia jej niezwykłych walorów (na łamach dodatku „Plus Minus”), co na chwilę przełamało betonową ławę bojkotu pisarza, po czym...wszystko wróciło do normy.

A tymczasem mamy tu do czynienia ze zjawiskiem wyjątkowym. Już ponad dwadzieścia lat temu za takie uznano nowele pisarza, pomieszczone we wspomnianych tomach, takie jak „Bal u senatora”, „Druga twarz portretu” czy „Benefis”. Pisarz, poprzez swoje osobiste życie integralnie związany z Warszawą, sięgał w nich do miejsc związanych z biografią jego bezpośrednich przodków i po mieczu i po kądzieli, tj. do Kresów, ewokując nastroje, zdarzenia, psychospołeczną atmosferę panującą na tamtych ziemiach w różnych kluczowych momentach polskiej historii. Przy tym momenty te jak gdyby wyłaniają się z historycznej mgławicy, w widzeniu narratora, którym jest dziecko lub niedorośli chłopiec i są efektem rzutowania autora w przeszłość sięgającą daleko przed jego datę urodzenia (na ogół pisze w pierwszej osobie). A jednocześnie to dziecko czy ów chłopiec, niekiedy młodzieniec jest uwikłany w jakiś rodzinny i osobisty dramat, związany albo ze śmiercią rodziców (za którą czuje się jakoś winny?), albo z nieobecnością ojca – łatwo domyślamy się, że zesłanego na Sybir – do którego przeraźliwie tęskni, czy z dziwnym postępowaniem matki. Zdarzenia wyłaniają się i przebiegają jak we śnie. Tak samo jawią się niektóre postacie, pośród których ważna jest babka, ostoja trzeźwego spojrzenia i roztropności, brat (w przeciwieństwie do narratora, zdrów i zdolny do walki, choć w jednym utworze doprowadzony do osłabienia i śmierci wydaje się tragiczny, dopóki nie okazuje się, że to był tylko sen!), stary Hrycio, wierny sługa rodziny (jeszcze ojca narratora wykołysał w swych silnych ramionach) i wreszcie młody Ukrainiec, Kola, nieco starszy, jak to się dawniej mówiło, prawie „rówiennik” bohatera, którego w chorobie ogrzewa własnym ciałem, ale kiedy indziej potrafi zdradzić, miotany sprzecznymi emocjami to etnicznego, to znów politycznego autoramentu. Miejszem akcji jest najczęściej dwór ziemiański, jego strych pełen zapomnianych pamiątek przeszłości, wieś wokół dworu, z kościołem i plebanią, pejzaż kresowy z jego intensywnymi barwami. Bywa i wspomnienie zesłania, a kulminacją w kilku przypadkach jest przybycie do dworu po raz pierwszy od stu lat polskiego (legionowego) wojska, przeżywane jak olśniewająca iluminacja.

Jest to proza na wskroś nowoczesna, można zresztą wymienić kilka utworów, by tak rzec, czysto groteskowych (jak „Deszcz” czy „Przypowieść”), odbiegających całkowicie od opisanych wyżej klimatów, ale ów generalnie nietradycyjny sposób konstruowania opowieści nie służy jakiemuś rozbijaniu rzeczywistości, a zwłaszcza podważaniu tradycyjnych zasad ludzkiego zachowania się (jak to bywa w prozie Gombrowicza), lecz uintensyfikacja niejako obraz tej rzeczywistości, czyni go w jakimś sensie ważniejszym, bardziej widocznym, bardziej dotykającym. Jest to bowiem proza, której źródła są związane z jakąś tajemnicą czy tajemnicami, ale my ich nigdy nie poznamy, skazani na domysł, na własną wyobraźnię, co prawda mocno przez autora rozwibrowaną; proza pełna niedopowiedzeń, pojawień i zniknięć niewyjaśnionych, wieloznaczności wnętrza głównej postaci. Jednoznaczny jest tylko duch tych opowieści, całkowicie i niewątpliwie polski, całkowicie i niewątpliwie niepodległy, wolny tą polską wolnością, o której marzyli wieszczowie romantyczni, a która właśnie w tych opowiadaniach (niekiedy) się ziszcza.

Jeśli miałbym szukać jakichś, choćby odległych, paralel dla nowelistyki Narbutta, to mógłbym odwołać się, ale tylko w niektórych przypadkach, do nowelistycznej prozy Cypriana Kamila Norwida: u obu autorów odnajdujemy przenikanie się dwóch planów: przyrodzonego i nadprzyrodzonego, „fizyki” i metafizyki, a poza tym w podobny sposób traktowana jest problematyka postaw moralnych. Proza Narbutta wyróżnia się przy tym jeszcze swoistą gęstością poetyckich sformułowań, muzycznością czy rytmicznością zdań (niekiedy brzmiących jak w wierszu, a nie w prozie), niezwykłą trafnością rozmaitych trzeźwych sądów i myśli, zwłaszcza gdy padają w otocze wspomnianej oniryczności. Konkretny wywiedziony jak gdyby ze snu, dotykliwość przedstawionych scen, które w strzępach pozostają w pamięci, a także postaci, również tych marginalnych, jak owa ciotka Emilia ulegająca chwilowej pokusie erotycznego przeżycia z młodziutkim bohaterem (i jego dwubiegunowa reakcja na to: wysoka temperatura podniecenia połączona z obrzydzeniem), składają się na ten osobliwy konglomerat, z którego z łatwością wyłuskujemy skład zasad drogich autorowi, w którym piękno, dobroć, prawda, wiara, nadzieja i miłość są najważniejsze.

Podobne cechy odnajdujemy w mniej licznych opowiadaniach (i mini-esejach) o tematyce włoskiej, tak bliskiej autorowi „Tęsknoty za Wenecją”, wzdychającego jakże często za „felice Italia”. Mniej w nich wprawdzie tajemnic, za to nie mniej subtelnych

nastrojów, sublimacji uczuciowych, więcej zdarzeń związanych z „wiekiem męskim, wiekiem klęski” (bo tu już narrator czy sam autor nie jest dzieckiem, lecz dojrzałym mężczyzną), a przy tym zachwyca jakieś niemożliwe zdawałoby się pogodzenie sprzeczności: trzeźwości spojrzenia na te miejsca ukochane przecież jakże gorącym uczuciem. Jak w tym fragmencie podsumowującym odczucie Wenecji: *I właśnie te dwa doznania stanowią o niepowtarzalności przeżycia, jakie daje Wenecja. Urok morza z urokiem nierealnego theatrum. Kamienna wizja pośród wodnego żywiołu. Gdzie takie drugie miasto na świecie?*

A że niektóre kanały na zapleczu cuchną? Nie spotkałem jeszcze pachnących kulis. („Wenecja”, w rozdziale „Wspomnienia włoskie”, w tomie „Wyrzucony na brzeg życia”, Katowice 2005).

Metodą „nowelową” napisana jest również jedyna powieść Narbutta „Ostatnia twarz portretu”, to znaczy przy zachowaniu wszystkich czy prawie wszystkich cech jego prozy opowiadaniowej, ale ciągłość narracji, ewolucja postaci, szczególnie jednego z dwóch głównych bohaterów, zawilości i nieoczekiwane zwroty losów innych osób (zwłaszcza kobiet, niekiedy bezimiennych), wreszcie poważne wymierzanie sprawiedliwości widzialnemu (i zarazem ginącemu) światu, „tak strasznie sfalszowanemu” (ks. prof. Janusz Pasierb) – wszystko to nadaje jej wyrazistą cechę epickości. Odnajdujemy w niej te same nastroje, uczucia i pragnienia indywidualne, co w nowelach, dotyczące poszczególnych postaci, w związku z rozwojem ich charakterów i zdarzeń w ich życiu. Tu również, jak tam, nie wiemy czasem, skąd i dlaczego pojawia się ta lub inna postać i domyślamy się jedynie, dlaczego to właśnie, a nie co innego z nią się dzieje, przy czym cały czas mamy do czynienia z rosnącym napięciem dramatycznym, czy też raczej zwiększającym się stopniem narastającego tragizmu (nie mylić z tzw. suspensem, bo nie o to chodzi). Dodajmy, że rzecz dzieje się (w ten sposób) w czasie podwójnej okupacji po 1939 roku, w Warszawie, w miastach kresowych, w Krakowie, a także na prowincji (w leśniczówce i gdzie indziej), a chodzi w głównym nurcie o „portret” pokolenia Polski walczącej. Próżno by jednak szukać jakichś scen zbiorowych, jakichś walk, to jest zdecydowanie portret wewnętrzny, zindywidualizowany, oparty na kilku postaciach i relacjach między nimi, obraz postawy i losu polskiego, jego psychologii i wyrazu społecznego, co sprawia, że rzecz jest zarazem lokalna i uniwersalna.

Pisarz w naturalny sposób wtapia w tę powieść scenę rozgrywającą się między Mościckim, Śmigłym i Beckiem, na moment przed przekroczeniem granicy Polski we wrześniu 1939 roku, dążąc do sprawiedliwego werdyktu i dostrzegając zarazem jedyny w swoim rodzaju dramat tych postaci. Charakterystyczne, że ocena Śmigłego wypada mniej surowo niż ocena Becka, przy czym nie chodzi naturalnie o jego słynne przemówienie sejmowe, lecz o zachowanie podczas kampanii wrześniowej. Książkę wieńczy tragiczna scena palenia munduru, w symboliczny sposób ukazująca dyferencję postaw, a zarazem jak gdyby przekazująca treść ostatniego rozkazu gen. Leopolda Okulickiego rozwiązującego Armię Krajową, mimo że w książce nie ma o tym mowy.

Tuż po wznowieniu powieści w 2002 roku napisałem, że jest to arcydzieło polskiej prozy współczesnej; po ponownej lekturze potwierdzam to w całej rozciągłości, jakkolwiek nie umiem (jak widzę) tego udowodnić. Ale czy można w ogóle dowieść, że jakiś utwór jest arcydziełem? To się po prostu wie.

W powieści jest także interesujący wątek żydowski, krawca Cyngielbluma; jego wzruszająca troska o chudnącego stale bohatera więcej mówi o stosunkach między obu narodami przed wojną, niż wszystkie oskarżenia o pogromy (to raczej specjalność rosyjska) i antysemityzm. Stach jest bezradny, jeśli chodzi o ratowanie Cyngielbluma i jego rodziny z getta, gdzie go znajduje i gdzie dowiaduje się, jaki krawcowi przyśnił się sen: oto - opowiada - jestem przed wojną na Krochmalnej i widzę napis: Precz z Żydami! - Czy ty możesz to zrozumieć?! - zwraca się do żony. - Tylko napis!

Poeta

Dysponujemy jedynie niespełna osiemdziesięciostronicowym tomikiem, zatytułowanym charakterystycznie „Trochę wierszy” (wyd. w 1997 roku). Wierszy, które autor zaczął pisać dopiero po pięćdziesiątce, zadziwiając nie tylko ś.p. ks. prof. Janusza Pasierba, który napisał w jednym z listów do autora, że dziwi się, iż chce mu się pisać wiersze, gdy ma tak świetną prozę (miał na myśli właśnie „Ostatnią twarz portretu”). Jak większość wydań Narbutta, wiersze te przeszły również bez echa, co wystawia jedynie złe świadectwo zwiędłej w Polsce po 1989 roku krytyce literackiej. Są one bowiem znacznie mniej skromne w swej poetyckiej skali i wartości niż tytuł

tomiku. Ich specyfiką jest – *sit venia verbo* – rozumność, powściągliwość, ukrywanie ważnych czy nawet wielkich znaczeń pod przykrywką zdawałoby się zwykłych i skromnych słów, jest tutaj ton osobisty i ton obywatelski. Są świadome nawiązania do Norwida (*Byłem u Ciebie w te dni bardzo czarne* – „Pużak”) i może mniej świadome przetworzenia poetyki Norwidowskiej. Są wiersze krótkie, zwarte, jak jedno rozświetlenie mroku, i są poematy, jak np. „Michał Anioł siedem razy” czy „W dawnym stylu”. Jest to poezja, której się nie czyta, lecz z którą się obcuje, wracając wielokrotnie do poszczególnych wierszy, by odkrywać na nowo ich treść i własną Narbuttową formę, bez której ta treść nie byłaby tym, czym jest. I jest w nich cały ten nietradycyjny tradycjonalista, jak w wierszu „Pomnik Powstania Warszawskiego”, nawiązującym, oczywiście, do Borowskiego, ale w całkowitym sprzeciwie wobec jego przeświadczeń:

*Zostanie po nas miasto gruzów
i barykada z naszych ciał,
zostanie po nas kpina głupców,
płacz matek i litania skarg
i pozostanie niepodległa
miłość wolności – i ta jedna
urośnie w pomnik, w krzyk kamienny,
co zerwie naród, aby wstał
i by zrozumiał jaki cenny
był nasz rozumny szal.*

Miłośnicy czystej, osobistej liryki też nie powinni być zawiedzeni, choć przeważa, jak to u Narbutta, poezja odpowiedzialnej walki o imponderabilia, w stylu *Patrz na usta relatywistom, ich język, to wieża Babel (...)* Odpowiednie daje rzeczy słowo.

Kiedy jesteśmy przy poezji, trzeba też wspomnieć o „Czarnym królu”, wierszowanej dwuaktówce zamieszczonej w tomie „Benefis”, napisanej językiem z epoki Jana Chryzostoma Paska, w której wszakże chodzi o sprawy ważne również dzisiaj, m.in. o kwestie władzy i zróżnicowanego do niej stosunku Polaków, z czego wynikło w historii i może nadal wynika sporo nieszczęść. Niestety, rzecz sceniczna, barwna, kostiumowa idealnie nadająca się do Teatru Telewizji, nie znalazła uznania w oczach jego kierownictwa, zezującego na reklamodawców. To oni dziś określają jakość telewizji, zwanej publiczną chyba tylko z przyzwyczajenia.

Eseista i publicysta

Napisałem: wielki zamilczany. A nie napisałem: dlaczego. Wyjaśnienie tego zjawiska jest niemalże takie samo, jak w przypadku książek publicystycznych Waldemara Łysiaka, które są czytane powszechnie, lecz ignorowane przez kręgi opiniotwórcze w polskojęzycznych (a niekoniecznie polskich) mediach. I wyjaśnienie to można znaleźć w licznych książkach Jerzego Narbutta zawierających eseje literackie i artykuły publicystyczne, przedtem drukowane w czasopiśmie. Z tym, że o ile książki Łysiaka, o których mowa, są najczęściej ostrymi pamfletami (zawierającymi zresztą wiele prawd niepoprawnych politycznie), co zapewnia im poczytność mimo braku promocji, to eseje i publicystyka Narbutta jest wchodzeniem w poważny spór nie tylko z ideowymi przeciwnikami, lecz czasem z reprezentantami tego samego światopoglądu, w których postawie jednak czy w pracach autor dostrzega niebezpieczne zaniechania, zamazania, dysproporcje itp. Dla siebie - Narbutta jako myśliciela, ucznia znakomitego „Tatara” (prof. Władysława Tatarkiewicza, którego sam sobie wybrał na mistrza), eseistę i publicystę (z konieczności łączę te dwie formy, choć należałoby je omawiać osobno) - nazywam „strażnikiem ładu moralnego”. A można by do tego dodać także ład estetyczny, ład psychologiczny, społeczny i kilka innych postaci ładu, z których pewni ludzie (szczególnie lewica i liberałowie, a także kosmopolity) niekiedy rezygnują, na rzecz bałaganu (np. myślowego, w którym buszują schematy i stereotypy), różnego rodzaju zaniedbań, dysproporcji, braku rozróżnień itp. Autor jasnymi słowami zwalcza wszelką sub- i kontrkulturę, na rzecz kultury *tout court*, wszelkie sitwy i koterie, jako narośla rakowate na ciele danej społeczności, irenizm i dynamiczny fanatyzm (raczej

lewicowy niż prawicowy, choć endecji nie znosi, a kocha i ceni Piłsudskiego), występuje przeciw wszelkiej sztucznej poprawności na rzecz prawdy i prawdziwości, jest jednoznacznym niepodległościowcem i uważa jak Jan Paweł II, że wolność jest zadaniem.

W pewnym momencie zarzucił pisanie prozy literackiej na rzecz prozy dyskursywnej, walczącej o to, co nazywa się właściwym porządkiem rzeczy. To znaczy takim, w którym jest miejsce na tradycję, na to, co w niej najcenniejsze, gdzie króluje prawda i miłość, a nie interes i hucpa. Sztuka przetrwa („pieśń ujdzie cało”) – rozumował, a różne ważne imponderabilia wymagają obrony, gdyż od pewnego czasu najlepiej na świecie mają się wieczni rewolucjoniści, którzy uważają, że wszystko polega na zmianie, podczas gdy warunkiem trwania człowieka jest właśnie niezmiennosc ładu świata. Oni są niebezpieczni, a jeszcze bardziej niebezpieczni są ci, którzy mimowiednie ich wspierają lub im się nie sprzeciwiają. Naturalnie, nie znaczy to, że każda zmiana jest zła. Ale nie może naruszać podstaw.

Styl tej logomachii jest niesłychanie czysty, krystaliczny, rozróżnienia, zachowywanie proporcji, precyzja określeń – wzorcowe, jak gdyby autor pokazywał w swojej stylistyce to właśnie, o co mu chodzi, żeby było u innych. Można się w jakimś szczególe z nim nie zgadzać, ale tej czystości i precyzji dowodzenia i perswadowania odmówić mu niepodobna.

Nikomu nie trzeba tłumaczyć, że taki pisarz, który nie tylko „atakuje” krytycznym słowem komunę, ludzi pokroju Kuronia czy Michnika, ale także Pascala za sprzyjanie jansenizmowi, czy ś.p. ks. Bronisława Bozowskiego za to m.in., że jak mawiał miał 1500 przyjaciół (!), w ujęciu miłośników poprawności politycznej, jest niebezpiecznym przeciwnikiem, którego najlepiej zamilczeć. I tak się stało.

Tym bardziej, że Narbutt ma jeszcze jedną wadę: czysty życiorys, nigdy nie dał się uwieść PRL-owskiemu „powabom”, od 1945 roku świadomie uczestnicząc we „froncie odmowy” (który sam sobie wymyślił, bo niestety frontu jako takiego nie było, tylko pojedyncze przyczółki: Herbert, Narbutt, Jerzy Braun, Grzędziński i może dwóch-trzech jeszcze). A tego dzisiaj w Polsce i na świecie się nie wybacza. Dlatego debiutował dopiero sporo po trzydziestce, nie skalał się też pisaniami do prasy PAX-owskiej. Pisał:

*Mam tylko gołe ciało moje i to życie w prawdzie
co nie ułatwia życia. To życie w prawdzie,
z którego się natrzęsają, szturchając się łokciami
i zwą mnie ironicznie: „Nasz księżę niezłomny...”*

Rzecz jasna, taka postawa ma swoją cenę, w przypadku Narbutta jest to, jak sam napisał, wyrzucenie na brzeg życia, a ponadto skrajne ubóstwo, życie przez wiele lat w nie ogrzewanej norze i zwyczajny, wstrętny, niepokonany głód. I kompletna niemal cisza nad jego książkami. Ale Księciem Niezłomnym jest bez ironii i autoironii, Księciem słowa, mówiącego prawdę z miłością (lub przynajmniej z wyrozumiałością, której nie ma tylko dla występnych), słowa, które jest jak czyn. To najwyższa miara.

Ramka

Jerzy Narbutt urodził się w Warszawie 12 października 1925 roku. Wywodzi się z rodziny ziemiańskiej z Kresów północno wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Jego dziad Ferdynand był uczestnikiem Powstania Styczniowego, a ojciec Antoni reaktywował na krótko i był redaktorem naczelnym Lelewelowskiego jeszcze „Tygodnika Wileńskiego” (przed wybuchem I Wojny Światowej). W rodzinie matki, Stanisławy z książąt Glińskich, było kilku literatów i publicystów. Rodzinne gniazdo Narbutta to Szyrwinty, majątek ziemski po stronie Litwy Kowieńskiej. Świadectwa rodzinne z Kresów i jeden wakacyjny pobyt w okolicach Kostopolu zdecydowały o kresowej tematyce wielu jego utworów literackich. Większość życia spędził w Warszawie, gdzie przeżył i Wrzesień 1939 roku i Powstanie Warszawskie. Zaprzyjaźniony z młodymi uczestnikami konspiracji (m. in. z Tadeuszem Zawadzkim - „Zośką”), sam nie mógł uczestniczyć w walce z powodu słabego zdrowia (nazywa siebie „zdechlakiem”).

Przypisywane mu niekiedy w biogramach uczestnictwo w Szarych Szeregach i w walkach powstańczych nie jest więc prawdą, co sam wielokroć prostował. Po 1945 roku przez sześć lat ukrywał się, zagrożony poborem do ludowego wojska

(orzeczono, że jest zdolny do służby, mimo chorób trapiących go od dzieciństwa). Wreszcie aresztowany i osadzony w więzieniu, wychodzi dzięki amnestii. Debiutuje dopiero w 1957 r. na łamach „Tygodnika Powszechnego”, którego kierownictwo i większość zespołu nie akceptuje go z powodu poglądów, patriotyzmu i ewangelicznego radykalizmu (m.in. stale musiał występować w obronie krytykowanego przez nich Prymasa Tysiąclecia). Współpraca, w związku z tym nader kulawa, trwa kilkanaście lat. Studiuje (najpierw po wojnie, potem po 1956 roku) jako wolny słuchacz u prof. Władysława Tatarkiewicza, jest najlepszym recenzentem jego fundamentalnej książki „O szczęściu”, Profesor wyróżnia go przyjaźnią, aż do swej śmierci. Prześladowany za działalność opozycyjną, w grudniu 1975 r. objęty zostaje zakazem druku, powodem bezpośrednim stało się podpisanie przezeń „listu 59-ciu”, przeciwko zmianom w Konstytucji. Publikuje w pismach drugiego obiegu takich jak „Zapis”, a poza tym w „Spotkaniach”, „Opinii” i „Rzeczpospolitej”. Członek Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania Zbigniewa i Zofii Romaszewskich przy NSZZ Solidarność. Autor tekstu hymnu Solidarności. W latach stanu wojennego ponownie ukrywa się, tym razem przed internowaniem, m.in. w klasztorach w Serpelicach i Lubartowie. Członek dawnego ZLP, a obecnie SPP i P.E.N. Clubu. Od 1988 r. publikuje felietony i eseje w „Ładzie” (aż do jego upadku w 1994 r.), w „Naszej Polsce” (do 1999) i w „Tygodniku Solidarność”. Jest laureatem nagrody im. Leszka Proroka, nagrody m.st. Warszawy, posiadaczem lauru poetyckiego „Białego Pióra” w Płocku, nagrody specjalnej ministra kultury i dziedzictwa narodowego. Zamrł w 2011 roku w Warszawie.

Książki (poza już wymienionymi w tekście): „Uciec z wieży Babel” (Arcana, Kraków 1999), „Awantury polemiczne” (2000), „Od Kraszewskiego do Parnickiego” (2000) „Spory o słowa, spory o rzeczy (2001)”, „Dwa bunty” (2003) i „Wyrzucony na brzeg życia” (2005). Wszystkie pięć wydane przez „Unię” w Katowicach, ostatnia z inicjatywy prof. dr. Ryszarda Szawłowskiego. Przedtem wydał ponadto: „List nie wysłany pocztą” (1975), „Sól ziemi” (1980), „Nasz jest ten dzień” (1981), „Druga twarz portretu” (1982), „Z ziemi polskiej, z ziemi włoskiej” (1983), „Szkice historyczne” (1984).